



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

W wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCE

Ulica Królewska Nr 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebiera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

## POGA WĘDKA.

Adwent się zaczął, Św. Marcin dawno minął, Boże Narodzenie nie daleko—a śniegu jak nie wiele, tak nie wiele.

Przepowiadają wprawdzie, że zima będzie ostra, bo się niebo przez kilka dni dziwnymi światłami paliło po zachodzie słońca, bo się mrówki głęboko zakopały w ziemię; ale jakoś, jak dotąd, zima więcej straszy, aniżeli dokucza. Niewiedzieć, czego bardziej pragnąć, czy mrozów, czy tej nijakiej pogody, która przynajmniej biedocie ludzkiej nie tak bardzo dokucza, a biedoty tej, niezaopatrzonej, na chłód i głód narażonej w ciągu całej zimy, bardzo, bardzo dużo w Warszawie.

Z wykazów jednodniowego spisu przekonał się, niestety, że dziwnie anormalnie ustosunkowane są u nas rozmaite klasy i czynniki społeczne, że za dużo kobiet zamieszkuje Warszawę, za dużo dzieci i starców—słowem: procent nieprodukcyjnej ludności, a potrzebującej utrzymania, jest znacznie większy w Warszawie, niż w jakimkolwiek podobnym mieście zagranicą. Nic dziwnego zatem, iż warunki egzystencji są tu trudniejsze, obowiązki cięższe na głowach rodzin cięższe, a dobrobyt nie tak świetny, jakby się spodziewać należało.

Trzymać rodzinę na jakiejkolwiek stopie zamożności—znaczy u nas tyle, co gdzieindziej prowadzić dom wystawny; drożyzna najpotrzebniejszych artykułów do życia, mieszkanie, ubiór—pochlaniają niemal wszystkie dochody średniozamożnych ludzi i budżety rodzin z własnej pracy żyjących, nie mogą, niestety, wykazywać u nas żadnych oszczędności, choćby nawet nie brakło do niej chęci i zamięłowania.

Kilka tysięcy rubli rocznego dochodu, nawet

przy umiarkowanych wygodach, wystarcza zaledwie do utrzymania rodziny. Stosunki zaś zamiast się poprawiać, pogarszają się; ani chleb, ani mięso nie tanieje, komorne nie spada, wydatki się mnożą, jakgdyby po deszczu grzyby, ceny podskakują w górę, ale nie spadają nawet w przychylniejszych warunkach, bo to już u nas taka moda, że co raz podróżało, to nigdy więcej nie tanieje.

W świecie handlowo-przemysłowym coraz więcej słyhać o bankructwach mniejszych i większych; spekulacja naoslep, bez kredki w rękę i rzetelności, popycha ludzi do ruiny i pociąga innych.

W tych trudnych pod względem materyalnym warunkach, rola kobiety, jako matki, żony, gospodyni, towarzyszkii pracy, staje się niezmiernie ważną; od niej zawisło też w znacznej części ulżenie ciężarów, a przynajmniej uczynienie ich znośniej-szemi.

Jeżeli mąż dźwiga jeden węgiel domu, żona trzy inne podpira—powiada Pismo i nie myli się wcale.

Ale sztuka to wielka i trudna; mało, niestety, kobiet umie być taką podporą, zwłaszcza w warunkach uciążliwych, jak dzisiejsze.

Przechodzimy stan jakiegoś ogólnego, smutnego przesilenia na wszystkich prawie polach, a nawet przewidzieć trudno, czem i kiedy się ono zakończy.

Nie mogąc decydować o jutrze, godźmy się i zastosujmy do dzisiejszego stanu; jest źle, jest bieda—rachujmy się lepiej z wydatkami, zreknijmy się pewnej części przynajmniej zbytków i nadużyć, wyleczmy się z marnotrawstwa bezmyślnego w małpowaniu szczęśliwszych i bogatszych społeczeństw.

Okropna rzecz być biednym i żyć z cudzego miłosierdzia, z cudzych okrucichów!

W Warszawie, pomimo całej jej tradycyjalnej ofiarności, nieujętej we właściwe karby—nędza na bruku tułać się musi i los zły depcze ją bezustannie.

Popierano tak gorąco, zachęcano wzorem i przykładem obcym urządzenie przytułków nocnych u nas, złożono nawet pewien fundusz na początek; ale mimo wszystko, projekt w roku bieżącym nie mógł być do skutku doprowadzonym. Obyż to była przynajmniej ostatnia zima, w której biedni bez dachu wzdychać będą do wyiskrzonego gwiazdami nieba podczas mroźnych nocy na ulicach dobroczynnego miasta!

Zadzwoniono na składki w celach filantropijnych, na ogrzewalnie, na ciepłą strawę dla głodnej i drżącej od zimna nędzy; do uszu, serca i kieszeni możnych a litościwych niechże głos ten doleci szczęśliwie.

Towarzystwo Dobroczynności szykuje swe największe sieci do filantropijnego poławu przed świętami; w salach Resursy Obywatelskich urządzony ma być doroczny Bazar przez dni pięć, salony będą wieczorem jaśniały światłem elektrycznym, a w namiotach kupieckich zasiądzie wszystko, co u nas wdziękiem, uprzejmością i dobrem sercem słybie.

Małe, ale obfite źródółko filantropijne, Teatrzyk Dobroczynności, rozpoczął również swój artystyczno-jałmużniczy sezon, później nieco, niż lat poprzednich, tem więcej też potrzebuje poparcia. Kiedyś, gdy to jeszcze do mody należało, nasze panie gorliwiej zajmowały się sceną amatorską i biednym przynosiły ofiarę miłą i pożyteczną. Dziś jakoś gusta się zmieniły, do występów publicznych stracono ochotę; chociaż dla prywatnych popisów nie żałuje się i czasu, i kosztów, i zachodu.

Po rozmaitych salonach grywa się dyalogi i komedye (prawdziwe komedye z drukowanych exemplarzy) dla własnej przyjemności, zapominając, że ten środek miłej zabawy, dałby się wyzyskać wybornie pod względem filantropijnym.

Jest jakby właśnie ta mała sympatyczna a tyle zasłużona scenka pod godłem: *Res sacra miser*, któraby mogła służyć za skarbnicę rozmaitych talentów i dobrych chęci pięknych amateerek i dziel-

nych amatorów. Dlaczegoż z niej nie korzystać, choćby w ten sposób, by tam na dochód biednych urządzić rodzaj generalnej próby, lub powtórzenia domowego teatru za biletami płatnymi, w zamknięciem kółku znajomych i krewnych?....

Szkoda-bo też zachodu i nauki dla samej zabawy sproszonych gości,—skoro mógłby przytem i cel publiczny skorzystać.

Kiedy mowa o teatrach amatorskich, trzeba powiedzieć i o.... francuzkim repertoarze, który z uporem zacofanych nie wychodzi prawie z większych salonów, gdy tylko zdobędą się gdzie na ofiarę dla Melpomeny i konwensu.

Wszystkie cywilizowane społeczeństwa szanują i kochają tak swój język, że go niemal innym narzucają; my tylko dobrowolnie wyrzekamy się tego.

Francuzom ani przez głowę nie przejdzie grywać u siebie poangielsku, powłosku lub poniemiecku;—Niemcy uważaliby popisywanie się w obcym języku za polityczną zbrodnię, ale Polacy—ci w białych krawatach i we frakach według ostatniego żurnalu, za najwyższy szyk właśnie uważają *parle-franse*, aby ich.... każdy lokaj i każdy garson mógł rozumieć.

Bo któż dziś nie mówi już dobrze po francuzku, ale jaki naprawdę znajdzie się procent znających dobrze swój język rodzinny i władających nim po-prawnie?....

Wstyd powiedzieć, że coraz częściej spotyka się w polskich towarzystwach Polaków, przynajmniej z nazwiska, którzy zamiast języka, mają jakiś słownik francuzko-angielsko-polski, i jednego większego okresu nie potrafią wytoczyć z ust bez makaronizmów i przekładańców. Wstyd powiedzieć, ale z wieloma pannami „lepszego towarzystwa”, z wieloma kawalerami młodszego pokolenia, trudno zacząć i poprowadzić rozmowę o największych naszych poetach lub arcydziełach naszej literatury.

Mówi się o francuzkich komedjach i powieściopisarzach natomiast z tą erudycją i swobodą, z jaką należałoby mówić o swojskich właśnie autorach.

— A przecież cudze rzeczy wiedzieć — dobrze jest, lecz swoje — potrzeba.

Jaka szkoda, że nie przyszedł do żadnego rezultatu konkurs Redakcyi *Biblioteki Warszawskiej* na napisanie dzieła p. t. „Wzór obywatela współczesnego”. Znalazłby się w niem osobny rozdział o poszanowaniu ojczystego języka i obowiązkach świętych względem niego, któryby zawstydził był wielu grzeszników w tym rodzaju, gdyby... gdyby go byli przeczytali.

Książka taka przydałaby się nam bardzo w tej chwili, ale smutny to objaw; że nic do jej napisania ani natchnął, ani zachęcić nie potrafiło, nawet i wysoka, jak na literackie honorarium, nagroda 750 rs.

Jest to może i dla literatury dzisiejszej smutne świadectwo, że coraz mniej mamy w niej sił i kwalifikacyi do podejmowania tematów poważniejszych i głębszych; lżejsza produkcja pochłania dziś wszystkie niemal czynne talenta, pisze się dużo, więcej niż dawniej, ale drobiazgów.

Rodzaj w sztuce, nowella w belletrystyce, blueta w komedyi, rozprawa w nauce, felieton w dziennikarstwie — górują ponad wyższego nastroju dziełami. Twórczość nawet większych talentów rozdrobiła się; nikt nie tworzy tytanów, ale sili się z tegosamego materiału lepieć figurki małe, byle zgrabne i lekkie; zamiast słońca wschodzą same gwiazdki na horyzontach sztuki i literatury.

Taki wiek gorączkowej, pośpiesznej, ale i nadermiernej, pracy.

Z dniem 1-go Listopada minął termin konkursu dramatycznego, ogłoszonego przez były komitet doradczy pod egidą dyrekcji teatrów warszawskich. Wobec tak wielkiego do zbytku zajęcia się sceną naszą, zadziwiać musi tak mała dla niej produkcja oryginalna, bo podobno bardzo nie wiele nadesłano na konkurs utworów i jest projekt przedłużenia terminu poza Rok Nowy.

Widocznie łatwiej u nas pisać i rozprawiać o scenie, aniżeli tworzyć dla sceny; krytyków też (niepowołanych najczęściej) coraz więcej, ale autorów dramatycznych nie bardzo.

Sezon odczytowo-koncertowy rozwinął się u nas

w najlepsze; panowie technicy i przyrodnicy dali początek prelekcjom popularnym w Sali Resursy Obywatelskiej, p. Kleczyński Jan muzykalną publiczność naszą oświecić ma w trzech odczytach o sposobie wykonywania dzieł Szopena, zarząd Osad Rolnych ściga już prelegentów na główną batalią w poście, Towarzystwo Dobroczynności na czytelnie bezpłatne kwestować zamierza również żywym słowem z katedry: strawy umysłowej, taniej a pożywej nie brakuje.

O sezonie muzycznym niech zdaje inny obserwator sprawę.

Wielbiciele sceny wyczekują Fenixa: Rozmaitości, powstającej z gruzów i popiołów, a tymczasem przygotowują się do uwieńczenia jednego z najdzielniejszych i najzasłużonych weteranów sztuki, Jana Królikowskiego, który 45 lat wiernej i zaszczytnej służby w szeregach Melpomeny ukończył w roku bieżącym.

Dzień 29-go Grudnia przeznaczono na owacy dla znakomitego tragika, któremu i od wrażliwych serc prawdziwych wielbicieli sztuki i szlachetnego talentu jubilatą należeć się będzie laur podzięk i uznania.

## ZNAŁEM JEDNĄ.

Znałem jedną, której oczy szklane  
Łez brylantem nigdy nie zaślśniły,  
A pierś miała, jako z lodu ścianę,  
Nietopnącą i wobec mogiły;  
Gniew też tylko, milczący wymownie,  
Czasem w oczach rozżarzał jej głównie.

Ta, z suchemi wieczyscie oczyma,  
Była dla mnie zagadką męczącą;  
— Cóż—mślałem—na uwięzi trzyma  
Łez jej falę na lica się rwącą?  
I hart jakież, anielsko-niewieści,  
Okamienia wybuch jej boleści?

Chciałem wierzyć, że w źródle modlitwy  
Taki spokój i moc taką czerpie;  
Że ją wspiera, wśród życiowej bitwy,  
Przenajświętsza stojąca na sierpie....  
Lecz nieprawda! — bo i z oczów Maryi  
Łzy gorące ciekły na Kalwaryi.

Chciałem wierzyć, że ją nauk chłody  
Wyziębiły, jak wulkan—z pozoru!  
Że w niej drzemie, pod zwierchniem lody,  
Dusza, pełna światła i koloru....  
Lecz nieprawda—bo i mędracy, noca,  
Płaczą nieraz nad własną niemocą.

Chciałem wierzyć, że światowe pęta  
Jej uczuciom wybuchać nie każą,  
I że musi chodzić uśmiechnięta,  
Marmurową świecąc ludziom twarzą....  
Lecz nieprawda! — bo w cichej ustroni  
I światowiec nad światem łzy roni.

I nie mogłem rozwikłać zagadki,  
Co w kształt ludzki była obleczona;  
Alem poznał, że ten posąg gładki  
Nie jest Nioby, ani też Memnona....  
Że miłosną nie błysnie on tęczę,  
Ani struny w nim żadne zadźwięczą....

Maż, którego płomienie życiowe  
Nieugiętym uczyniły spiżem,  
Nosi, hardo, i piersi i głowę,  
I nie jęczy, padając pod krzyżem;  
Lecz niewiasta, najbardziej wychłodła,  
Musi w oczach dwa żywe mieć źródła,

Pośród dziejów szarego przedziwa,  
Jak nie srebrna, błyszczą łez strumienie;  
W łzach tych ludzkość ze krwi się obmywa  
I roztopia zbyt ciężkie cierpienie,  
I ucieczką są te łzy dla ducha,  
Bo w nich nadmiar boleści wybucha.

Płaczą matki w krewią zalanej Ramie,  
A skarg echo aż do nas dolata;  
Rzymski tyran pod niemi się łamie,  
Z bohatera przemieniony w kata—  
I przybity łez matczynych gradem,  
W proch upada, z czołem hańbą bladym.

Nad Eufratem córki Izraela  
Płaczą głośno, zawiesiwszy lutnie,  
I chór jęków pod niebo wystrzela,  
Z wierzb rozgwarem pomieszany smutnie—  
A podobny szczękowi orężów,  
Jest pobudką dla braci i mężów....

Łzy niewieście! życiodawcza roso!  
Wyście głębin sercowych perłami!  
Serafowie przed Boga was niosą,  
I błagają Pana światów—łzami...  
A łza często zaważy na szali,  
I człowieka przed bólem ocali.

Łzy niewieście! płyńcie bujną falą  
I ład czyńcie w życiowym zamęciu!  
Niech się wszystkie boleści skryształą,  
W promienistym cichej łzy diamentcie,  
I niech będzie ten diament nad złotem—  
Najcenniejszym ludzkości klejnotem!

Niech łez źródło nigdy nie wysycha!  
Bo z niem razem wyschnie źródło siły;  
Bo zagaśnie wielkich czynów pycha,  
Gdy wzrok niewiast zajdzie mgłą mogiły,  
Gdy się zeszkli, bez czucia i blasku,  
Naksztalt pustyni jałowego piasku....

Wiktor Gomulicki.

## POLKA I AMERYKANKA

### POWIEŚĆ

przez

Sewera,

(Dokończenie).

Stanisława już miała czas zapanować nad sobą i pokonała wzruszenie. Energia jej odzyskała swe siły.

— Przeszkody? Ja ich nie widzę. Zdaje mi się, że Jadzia dużo ma dla pana sympatyj; inaczej nie przychodziłaby tu.

— Po tem, co zaszło, po wizytach porucznika i jego serdecznem przyjęciu, ja nie mogę zdradzić przed nią swych uczuć.

— Sądę, że pan je ciągle zdradzasz.

— Lecz mi ich wypowiedzieć głośno nie wolno.

— Wątpię, aby Jadzia wypowiedziała je pierwsza...

— A jednak powinna. Upoważnia ją do tego różnica majątkowa, jaka nas rozdziela.

— Czy różnica jest tak olbrzymia?

— Obecnie nie, i to mnie nieco uspakaja. Lecz zawsze jest dotyla wielką, że powinna dodać odwagi pannie Jadwidze.

— Czy nie za dużo pan wymagasz?

— Wobec panny Jadwigi nie — odparł poważnie.

U podnóża pochyłości, zpoza grupy olsz i dębów, na zieleni łąk, zamajaczyła biała sukienka, błękitna parasolka i ryżowy kapelusz.

Stanisława pierwsza spostrzegła Jadwigę.

— Otóż i ona, patrz pan! Idź, podaj jej ramię i powtórz naszą rozmowę.

— Nie mam sił — odpowiedział. — Nareszcie moja ambicja. Ja zostałem pokrzywdzony, upokorzony — dodał cicho. Należy mi się zadośćuczynienie.

Zsunął się na murawę u nóg dziewczęcia.

— Siadasz pan przy moich nogach? Jadzia pomyśli, że kłęczysz. Któż wie, czy nie jest zazdrosną? — mówiła z uśmiechem, chociaż jej wargi drżały nerwowo. — A ja chciałabym zawsze być waszą przyjaciółką...

Władysław przeczuwał, że się zbliża stanowcza chwila. Był blady, wzruszony — nie słyszał co mówiła Stasia, zapatrzony w nurty rzeki wyłoczone promieni słońca.

Dziewczyna, gdy się uwolniła od spojrzeń młodzieńca — spoważniała; wyraz jej twarzy stał się surowym, różowe jej wargi zbladły, usta zacisnęła. Stojąc nieruchomie, wpatrywała się w zbliżającą się Jadwigę. Serce jej biło — widocznie umysł pracował, gdyż często brwi zsuwała, marszcząc gładkie czoło.

Tymczasem Jadwiga wylaniała się zpoza niebieskawo szarego kolorytu jesieni. Postać jej stawała się coraz wyraźniejszą, nabierając skutkiem wieczornej mgły powiewności i uroku. Gdy podeszła pod wzgórek, Amerykanka zawołała do niej głośno:

— Jadziu, pan Władysław opowiadał mi straszne dzieje swego serca; mówił, że ma żal do ciebie, że powinnaś go przeprosić... wiele cudownych rzeczy wygłosił. Pewno ci je powtórzy.

Jadwiga stanęła; Stasia zwróciła się do Władysława, który się zerwał na równe nogi.

— Zdaje mi się, że się wywiązała z powierzonego mi zadania. Czekam państwa — dodała głośno i zbiegła ze wzgórza w stronę dworu. Wtedy z oczu jej trysnęły łzy, wargi jej drżały serdecznym płaczem. Biegła z całych sił, chcąc ukryć wybuchy żalu.

Władysław przybiegł do Jadwigi.

— Przepraszam — szepnęła drżąca, wyciągając rękę.

Władysław pochwycił wyciągniętą rękę.

— Przepraszam — powtórzyła — masz pan prawo nienawidzić mnie; gdybyś jednak wiedział... Nie mogła mówić, — potok łez za nią dokończył.

Stanisława w swoim pokoju stała przy otwartym oknie. Twarz ją paliła rumieńcami, oczy świeciły gorączkowo! Od czasu do czasu z zacisniętych ust wybiegały urywane, wyrazy gniewu i żalu. Wzrok jej przesunął się po łańcuchach ciemnych gór, pokrytych lasami, na których piętrzyły się białe i szare chmury, tworząc chaotyczną całość. Wzburzone myśli dziewczyny szarpały jej serce; rozstrojony organizm potrzebował powietrza, wzrok — szerokiego horyzontu.

Nareszcie straciła świadomość swej egzystencji i czasu; ból wprawił ją w pewien rodzaj lunatyzmu i znieczulenia.

Szelest sukni w pokoju zbudził ją, odwróciła się nerwowo. Jadwiga pochwyciła ją w objęcia; tuż przy nich stał rozpromieniony Władysław.

Szczęśliwa dziewczyna miała łzy w oczach; uprawiała więc i Stanisławę do cichego płaczu, łagodzącego jej rozdrażnione nerwy.

— Ja i szczęście moje, to twoje, Stasiu, dzieło! Dziękuję ci: nauczyłaś mnie żyć — podała rękę Władysławowi.

Stanisława mimowoli wyciągnęła do niego swoją. Młody człowiek przyciskał je do ust.

— Przepraszam? — zwróciła się Amerykanka do Władysława, siłąc się na uśmiech.

— Przepraszam — pochwyciła Jadwigę — i przebaczenie otrzymała.

Siostry usiadły na kozetce, młodzieniec naprzeciwko nich. I zaczęła się rozmowa pełna uśmiechów, wielkich nadziei, błysków szczęścia i świętych projektów.

— Rodzice twoi? — rzuciła pytanie Stasia.

Dwa te wyrazy zmroziły uśmiech na ustach i zaciążyły kamieniem na sercach. Oblicza za-

kochanych zasepiły się — przestrach wyglądał z ich oczu.

— Stasiu — rzekła nieśmiało Jadwiga — dzieło jeszcze nieskończone, a że tak szczęśliwie rozpoczęłaś...

— Mam skończyć? — podchwyciła nerwowo. — Zadzwoń silnie.

We drzwiach ukazał się służący.

— Konie do wolanta założyć i natychmiast zajechać!

Zaczęła się z właściwą sobie żywością ubierać. Zarzuciła kapelusz — wdziewała rękawiczki.

— Powiem wszystko i w razie potrzeby stoczę za was ostatnią batalię.

— Oszczędzaj moją matkę — szepnęła jej siostra. — Jest słaba — kocha mnie i pewno ze zbytku poświęcenia...

Nieśmiała dokończyć.

Rozgorączkowana dziewczyna uśmiechała się. Konie zajęchały: pocałowała Jadwigę, podała rękę Władysławowi.

— Pozwolenie, przebaczenie, łaskę i miłość, co chcecie — przywiozł! Do widzenia.

Za bramą dworu energia jej wróciła: kazała pędzić. Nie mogąc usiedzieć, powstała, trzymając się ręką za koziół powozu. Wiatr chłodził jej twarz, targał bujne włosy — kapelusz zsunął się na ramiona. Dziewczyna, zatopiona w myślach, wdychała powoli, głęboko.

Powozik zatoczył się przed park: dała rozkaz woźnicy, aby jechał do dworu topolową aleją.

Ziemia jęczała od kopyt koni galopujących; przestraszony p. Edward wybiegł.

— Ach, jak to wybornie, że stryja spotykam!

— Czy stało się jakie nieszczęście? — zawołał.

— Ależ przeciwnie! długo oczekiwana nowina, radość, szczęście, co stryj chcesz, zawitały...

Panu Edwardowi lotem błyskawicy przesunęły się po głowie: wielka wygrana, milionowy spadek w Ameryce, powrót porucznika.

— Stasiu, nie dręcz mnie! — zawołał rozpromieniony.

— Władysław oświadczył się Jadzi, czyli, we dług naszych zwyczajów, Jadzia mu powiedziała, że go kocha.

Pan Edward rozśmiał się nerwowo.

— Ej, ej, dziewczyno, żartujesz i straszysz mnie.

— Straszycie nie mam czem. A żarty w tak ważnych sprawach są, conajmniej, nie na miejscu.

— Co mówisz? — pochwycił ją za rękę.

— Czy mam powtórzyć?

— Słyszałem — odpowiedział; uszedł parę kroków i stoczył się na ławkę.

Stanisława usiadła przy nim.

— Nie mówiąc już o pozycji, która jest żadną, ależ to nędza! Dzierżawa więcej nie wynosi nad trzysty morgów.

— Jadzia w tej nędzy widzi szczęście.

— Straciła równowagę umysłu lub obcemi wpływami rozegzaltowała się.

— Mnie się zdaje, że postępuje trzeźwo i konsekwentnie, oddając rękę człowiekowi, którego kocha.

— Dlaczegoż ty nie poszłaś za niego?

— Bo mnie nie kochał, i niestety, nie chciał.

Pan Edward zerwał się.

— Okropne! — Jadzia nie jest wychowana na żonę dzierżawcy.

— Wychowa się.

— Nie umie pracować.

— Nauczy się.

— Żona moja, Guccio, krewni...

— Muszą się zgodzić i pewno się zgodzą.

— Stasiu, ty jesteś okrutną, urągasz mej rozpaczy i nieszczęściu.

— Kochany stryju, ponieważ Jadzia jest szczęśliwą...

— Dziś — a jutro nędza!

— Nie wydasz jej bez posagu.

— Ja obecnie nie mam — nie!

— Są młodzi — poczekają.

— Okropny nam los zgotowałaś.

— Kto? — ja?

— Tak — ty!

— Ależ ja z rozkoszą zostałabym żoną Władysława, gdyby mnie nie była ubiegła Jadzia!

Pan Edward, niewiedząc co mówi, zawołał:

— Porucznik!

— Oddałam go Jadzi.

— Ośmieszylaś go w jej oczach.

— Gdybyś mi dziś stryj powiedział dla siebie radosną nowinę, że Jadzia zdecydowała się oddać rękę porucznikowi, rozpaczalabym taksamo, jak w tej chwili stryj.

— Nam, biedakom, nie wolno robić wybryków czułości i sentymentalizmu.

— Jadzia utrzymuje, że jej wolno; a ponieważ sama odpowiada za swą przyszłość...

— Dosyć tego! macie poprzewracane w głowach, a od tego są rodzice, aby na szaleństwa nie pozwalać, — wypowiedział ostrym i stanowczym głosem.

— Kochany stryju, stało się! Władysław jest narzeczoną Jadzi, ona zostanie jego żoną.

— Odmawiamy pozwolenia i błogosławieństwa, a bez tych ślub nie jest możebnym.

— W takim razie wezmą go za granicami państwa.

— Co mówisz?

— Na dany mój znak, wyjeżdżają. Konie nasze są dobre, do granicy niezbyt daleko.

Pan Edward załamał ręce.

— Zgubiłaś nas! — zawołał pełen oburzenia i rozpaczy.

— O tak, zgubiłam — odpowiedziała z szyderstwem — dlatego, że nie pozwoliłam zmarnować wam dziecka, przez wydanie za gburę, któryby jej chciał pewno tresować jak konia, do swych dzikich instyktów! Zgubiłam, że nie oddałam jej na pastwę waszego egoizmu! Chcielibyście ją wydać za mąż bez żadnego względu za kogo, byle bogato, aby nie być zmuszonymi do dania posagu.

— Dosyć! — zawołał p. Edward, cały blady.

— Wybornie — odpowiedziała z dumą — czekam pańskiej decyzji.

— Jakiej?

— Czy nareszcie mają natychmiast jechać za granicę, czy też zostać?

— Stasiu — szepnął pan Edward, zsuwając się powtórnie na ławkę.

— Słucham cię, stryju.

— Zdaje mi się, że to sen.

— Najrzeczywistsza rzeczywistość. Na twojem miejscu cieszyłabym się serdecznie.

— Moja żona — Guccio...

— Niechaj narzeczeni mają, tymczasem twoje, stryju, pozwolenie.

— Dokuczyłaś mi.

— Broniłam się. Przebacz mi! — Nadstawiła mu czoło do pocałowania.

— Pozwalam — rzekł smutno — a nie zarzucaj mi więcej, że dla egoizmu jestem zdolny poświęcić własne dziecko.

Stanisława się rozśmiała.

— Musiałam cię zterroryzować.

Dała znak: powozik czekający na końcu alei zajechał.

— Muszę się spieszyć. Wyobrażasz sobie, mój stryju, jak mnie niecierpliwie oczekują.

Pan Edward, smutny, z pochyloną na piersi głową, szedł do dworu. Zdawało mu się, że Stasia opowiada w całej okolicy o jego egoizmie i chęci zmarnowania ukochanego dziecka. Bał się opinii i drżał przed nią, jak każdy szlachcic polski. I tylko strach ten, zmusił go do natychmiastowej decyzji.

Cicho wszedł do pokoju żony.

— Powiem ci, Balciu, prawdę, że mi się niepodobają te ciągłe przesiadywania Jadzi u Amerykanki.

— A nie ostrzegałam cię, nie prosiłam, aby temu przeszkodzić? Lecz cóż? ja nie mam nad moją córką rodzoną żadnej władzy!

— Tem więcej, że Władysław tam często bywa.

— O Jadzie się nie boję; ma ona rozum; lecz po cóż się narażać na plotki?

— Niestety, Jadzia go widocznie straciła.

— Co mówisz? — spytała p. Balbina ponuro. — Czy czasem Amerykanka nie zgotowała nam jakiego nieszczęścia?

— To raczej Jadzia — Amerykance.

— Mów wyraźnie.

— Odbiła jej Władysława.

Pani Balbina uśmiechnęła się tryumfująco.

— Ależ to było do przewidzenia! Chudeusz, ośmielał się w niej kochać od dwóch już zdaje mi się, lat....

— Ale tymczasem Jadzia oświadczyła mu się pierwsza.

Balcia popatrzyła na męża surowo—blednąc.

— Nie jestem usposobiona do żartów.

— Przysięgam ci—odezwał się poważnie.

Nie zniosła tego ciosu, rozstrojone nerwy wymówiły posłuszeństwa—zemdląca.

Gdy ją ocucono, dostała nerwowego płaczu. Po przycichnięciu płaczu wypłynął z ust Balci potok strasznych skarg na Amerykankę i żalów nad losem biednego Gucia! Żal zaczął powtórnie wy-ciskać łzy—wracał płacz. Objawy te powtarzały się, póki Balcia ze zmęczenia nie usnęła.

Pan Edward czekał w parku na córkę. Miał ochotę sterroryzowany przez żonę, pojechać, zabrać Jadwigę i wyświecić dom Władysławowi; lecz bał się jej, Amerykanki, brata i Władysława.

Nadjechał powóz p. Ludwika. Rozpromieniona dziewczyna rzuciła się w objęcia ojca.

— Czy to prawda, abyś ty?...—zaczął z szyderstwem.

— Ani słowa więcej, drogi ojcze! W tej chwili jestem szczęśliwa pierwszy raz w życiu. Czyżbyś chciał to szczęście zburzyć? Dość już znieśliśmy upokorzeń i wstydu w pogoni za świetną przyszłością. I fatalizm się zemścił najwięcej na mnie pewno zato, że odpychałam bezmyślnie to, co mo- że mi dać spokój, cichą radość, uczynić mnie dla mna i zadowoloną z samej siebie. Ojcze, ja go kochałam oddawna, a krzywdziłam nędznie i nie- godnie. Gdy myślę o przeszłości, wstyd wypala mi rumieńce na twarzy.

Oparła głowę na jego ramieniu i zaczęła płakać serdecznie.

Rozzbrojony ojciec pieścił ją, pocieszał, tulił, póki nie utulił i uśmiechniętej nie zaprowadził do jej pokoju.

#### Droga Fanny!

„Jadwiga zwyciężyła! raczej jej słabość, którą tu nazywają słodyczą i dobrocią. Bierny jej charakter przyjmuje wszelkie wrażenia silniejszego organizmu i z rozkoszą poddaje się pod jego panowanie. Tem-to poddaniem się zwyciężyła mnie.

„Ma ona, jak i wiele polskich kobiet, pewien czar, który posiadają także Angielki, a o którym my nie mamy wyobrażenia. Tym-to czarem pokonała mnie.

„Droga Fanny, my za mało jesteśmy kobietami. Trzeba mieć odwagę powiedzieć sobie prawdę.

„Torturowali mnie przez cały dzień: musiałam ich godzić, oświadczać i płakać razem z nimi. Płakałam nad sobą. Uciekłam nareszcie od nich pod pozorem pozyskania pozwolenia rodziców Jadwigi i zemściłam się na dobrym i słabym człowieku, jakim jest mój stryj.

„Wstyd mi.

„I znowu jestem sama z pragnieniami i tęsknotą, sama, a obok mnie smutny ojciec. Widzi on i odgaduje, jaki się dramat odgrywa w mem sercu, lecz nie śmie się pytać.

„Sama jestem, lecz odzyskałam moją swobodę, energią, gorącą czynu: chciałabym ludzi upokorzyć i imponować im. Już nie płaczę. Uśmiecham się może nerwowo, jednak się uśmiecham i tryumfuję nad sobą.

„Droga Fanny, dotrzymaj przyrzeczenia i od- wiedz mnie. Kuzyn mój będzie ci towarzyszył.

„Do widzenia.

Twoja Stanisława“.

Po chwili zamyślenia i bezwładnego odpoczynku, przysunęła ówciarkę czystego papieru, pochwyciła gorączkowo pióro i napisała:

Kochany kuzynie!

„Mówiłeś mi, że nigdy nie będzie dla ciebie za- późno: przyjeżdżaj. Jak widzisz, nie kazałam ci zbyt długo czekać. Przywieź Fanny: pragnę, aby była mi družką.

Twoja Stanisława“.

Wszedł p. Ludwik; córka podała mu list pisany do kuzyna, rzucając się z płaczem w jego objęcia.

— Marzyłem, że wyjdiesz za Polaka — mówił wzruszony, tuląc dziewczę.—Inaczej się stało. Ale Adolf jest dzielny i zacnym młodzieńcem.

— I dlatego musimy go zrobić Polakiem. Osie- dli się tu, zostanie z nami — odpowiedziała cicho, kryjąc twarz na piersiach ojca.

Skończyłem, lecz ze względu na moje czytelniczki, które, pomimo, że lubią się domyslać, rade są wiedzieć prawdę nieulegającą żadnym podejrzeniom—dodaję:

Pani Balbina, po kilkokrotnym spazmatycznym płaczu i żalach na Amerykankę, dała się nareszcie mężowi i córce prześlagać. Jeden tylko Gu- cio był nieugięty i, aby zmanifestować wobec powiatu swoją opozycję, nie przyjechał na ślub i nie prowadził siostry do ołtarza.

W krótkim czasie Władysław wziął dzierżawę Żurawna. PP. Edwardowie przenieśli się do sto- licy. Pan Edward został dyrektorem jednej z oby- watelskich instytucji, a Gucio rozpoczął w na- miestnictwie karierę; bywa u arystokracji, a na- wet z ojcem na urzędowych recepcjach u nami- stnika.

Wolno nam mieć nadzieję, że państwo Władysławowie, skutkiem zapobiegliwości pani, a dobre- go gospodarstwa pana, kupią w przyszłości Żu- rawno.

Stanisława jest żoną Adolfa, bogatego i dziel- nego Jankesa, który z właściwą temu narodowi zdolnością, szybko się zaaklimatyzował w naszym kraju. Młoda i dzielna kobieta rządzi mężem, pa- nuje okolicy, spełniając zadania obywatelskie w coraz szerszym zakresie, bez używania do pomo- cy prasy i bez wpływania na sejm. Jadwiga jej serdecznie pomaga.

Są pewne oznaki, że Władysław zostanie mar- szalkiem, a wtedy: któż zaręczy, czy Amerykanka, jak ją nazywa okolica, nie będzie rządzić po- wiatem?...  
K o n i e c .

## Powrót gościa zpoza świata.

Niech ten tytuł nikogo nie przeraża. Nie wy- prowadzimy tu na scenę ani strzyg, ani upiorów, ani nawet „mediów“. Temat nasz jest zupełnie realnym i nie w sobie nie ma mistycznego. Okre- ślenie „zpoza świata“, nie odnosi się wcale do owych oteblani przez Dantego opisanych, lecz do przestworów niebios, leżących poza granica- mi grupy ciał niebieskich, do którego nasz dom, nasza ziemia należy — poza granicami systemu słonecznego. Jednym słowem, chcemy mówić o spo- kojnej zjawisku astronomicznym, o niewinnej ko- mecie, która pobujawszy w oteblaniach pozapla- netarnych, przybywa do nas, po 71 latach z no- wą wizytą.

Dzisiaj powiadamy o komecie „zjawisko spo- kojne, niewinne“. Na jakiej zasadzie?—bo prze- cież dawniej uważano ją za zwiastunkę wojen i taran grozący rozbięciem ziemi... Naturalnie, na tej zasadzie, na której zerwaliśmy z astrologiczną teorią wpływu ciał niebieskich na losy ludzi, na tej chociażby, że od wojny trojańskiej aż do dzi- siejszego czasu, nie było ani jednego roku bez wojny — gdy się więc jaka kometa pojawiła, ła- two było znaleźć dla niej wymarzony skutek.

Przypisywanie podobnego wpływu komecie, daw- no już należy do przesądów, do których nikt z ludzi ukształconych się nie przyzna. Ale drugi przesąd, dotyczący niszczącego wpływu matery- alnego, nie tak dawno jeszcze wstrząsnął całą Europę. Sądono, że ponieważ kometa jest jakimś intruzem szalonym, nieulegającym prawom innych ciał niebieskich, więc może wpasć na ziemię i roz- bić ją w puch. Ale i ten przesąd rozwiązała oświa- ta, która wniosła do umysłów szerokiego ogółu wiadomość, stwierdzoną już w przeszłym wieku, że komety biegają taksamo po drogach, ściśle im przez prawo powszechne nakreślonych jak plane- ty, i że prawdopodobieństwo spotkania się ich z ziemią, jest nadzwyczaj małe.

A gdyby się nawet spotkały? I w takim jeszcze razie, żaden zły skutek nie wyniknąłby dla ziemi, z powodu natury ciała komety.

Jakaż jest istota ciała komety? Duchowa—po- wiedziałby prostak, wyobrażający sobie duchów, złożonych z mgły lub dymu. Lecz występując z tego stanowiska, musielibyśmy powiedzieć, że natura komety jest więcej niż duchową, bo ciało jej składa się z substancji, wobec której obłok i dym byłoby czemś bardzo grubym i gestem.

Ciało komety jest ulotne i tak przejrzyste, że nawskróś przezeń widać małeńkie gwiazdki, gdy koło nich płynie, a obłok lub dym takich rozmiarów jak kometa, sprawiłyby zaćmienie nie tylko gwiazd ale i słońca.

A tusza komety jest rzeczywiście wcale poka- żną. Grubość jej dochodzi dziesiątek i setek, a długość milionów mil. Jakieżby wielkie zamie- szanie sprawił w naszym świecie planetarnym, obłok lub dym takie przestrzenie zalegający!

Właśnie, głównie rozpowszechnienie wiadomo- ści o subtelności, nikłości, lekkości, rzadkości ko- mety, wpłynęło na zupełny upadek powyższego przesądu. Lecz nie sądzimy, aby wpływ jego zni- knął zupełnie.

Lud, jak zwykle leniwym podążający krokiem za odkryciami uczonych, nie znając wcale lub nie- będąc pewnym natury owego zjawiska, trwoży się niem za łada pohopem, wyszłym z mózgowicy ja- kiegoś fałszywego uczonego lub na zasadzie prze- sądów, które nam dawne czasy przekazały. Tak było np. w 1857 r. gdy cała niemal Europa wie- rzyła, iż ten obłok rozcieńczony do ostatnich gra- nic materji, którego kawał taki, według wyrażenia Flammariona, jak kościół Notre-Dame, można by wciągnąć do płuc w charakterze inhalacji i to homeopatycznej, że coś tak mało gęstości i wagi mającego, mogło stracić ziemię naszą ze zwykłej drogi, albo też rozbić na drobne kawałki. Nie dziwilibyśmy się też, gdyby się teraz powtórzyło takie zjawisko trwogi powszechnej, bo widmem zdoła zatrwożyć ludy szarlatan, gdy tymczasem wiele najzupełniej uzasadnionych ostrzeżeń, wy- szłych od mężów poważnych, odbija się o twardy mur niewiary. Wielaby o tem można powiedzieć, choćby na zasadzie faktów, jakie nam daje kome- ta, ale nie chcemy tak daleko odbiegać od tematu.

Kometa błyszcząca teraz słabem światłem na naszym niebie, nazywa się od czasu, w którym ją odkryto, kometą z 1812 r.

Nie jest to owa słynna kometa, o której wspo- mina Mickiewicz w wierszu:

O roku ów! kto ciebie widział w naszym kraju!  
Ciebie lud zowie dotąd: rokiem urodzaju,  
A żołnierz rokiem wojny; dotąd lubią starzy  
O tobie bając, dotąd pieśń o tobie marzy.  
Zdawna byłeś niebieskim oznajmiony cudem  
I poprzedzony głuchą wieścią między ludem.

a której i dotąd jeszcze mnóstwo ludzi przy- pisuje i wojnę i dobre wino z 1812 roku. To z jednej strony szkodliwe, a z drugiej dobroczyn- ne *factotum* niebieskie, za jakie go lud, jak widzimy z pięknej apostrofy Adama, uważał, choć świeciło i straszło w końcu 1811 i na począt- ku 1812 roku, jednakże w astronomii nosi miano „z r. 1811“, albowiem w tym roku znajdowało się w punkcie najbliższym słońca, według którego to położenia przyjęto nazwę komecie nadawać.

Kometa z 1812 r. odkrytą została przez Ponsa w Marsylii, d. 20 Lipca tegoż roku, i obserwowana była aż do końca Września. Przedstawiała się ona jako utwór mglisty z bardzo bladym jądrem, tak, że można ją było widzieć tylko zapomocą te- leskopu. Raz tylko, wtedy mianowicie, gdy się znajdowała najbliżej słońca (15 Września) o 25 milionów mil odległości od ziemi, była tak jasną, że berliński astronom Bode mógł ją gołym okiem obserwować. Była ona otoczona mgłą świetlaną i ciągnęła za sobą blady warkocz, zajmujący na niebie 1 stopień okręgu koła. Astronom Encke obliczył okres jej biegu na około słońca na 71 lat tak, że ponownego jej pojawienia się w roku bie- żącym oczekiwać wypadało.

Powrót komet jest ważny z tego względu, że stwierdza teorię Newton'a i Halley'a, według

Teorya Newton'a i Halley'a została stwierdzoną w najświetniejszy sposób, a astronomia i matematyka święciły nowy tryumf swej potęgi. Clairaut i Lalande, którzy musieli obliczać odległość komety od Jowisza i Saturna na każdy stopień w przeciągu 150 lat, chybili tylko o 19 dni w swem obliczeniu!

Kometę Pons'a-Brooks'a obserwuje w naszym kraju od Września, lekarz astronom Dr Jan Jędrzejewicz, posiadający prywatne obserwatorium w Płońsku. Choć znał miejsce, w którym powinien pojawić się na niebie, jednak światło jej było tak słabem, że ją dostrzegł dopiero d. 22 Września. Była wtedy o 43 miliony mil od ziemi oddaloną i przedstawiała się w postaci lekkiego obłoczka z cokolwiek jaśniejszym środkiem. Blask ten coraz bardziej się powiększa. Jednakże, choć jest prawdopodobieństwo, iż przez pewien czas komety będzie widzialną gołym okiem, albowiem ukaże się teraz w warunkach daleko lepszych niż w roku 1812, atoli nie można tego napewno przepowiadać, gdyż komety za każdym powrotem tracą zwykle część swego blasku, a zresztą ulegają pewnym, niezbadanym jeszcze, zmianom, które również na zmniejszenie ich jasności wpływają. Jeżeli jednak przewidywania nie zawiodą, to be-

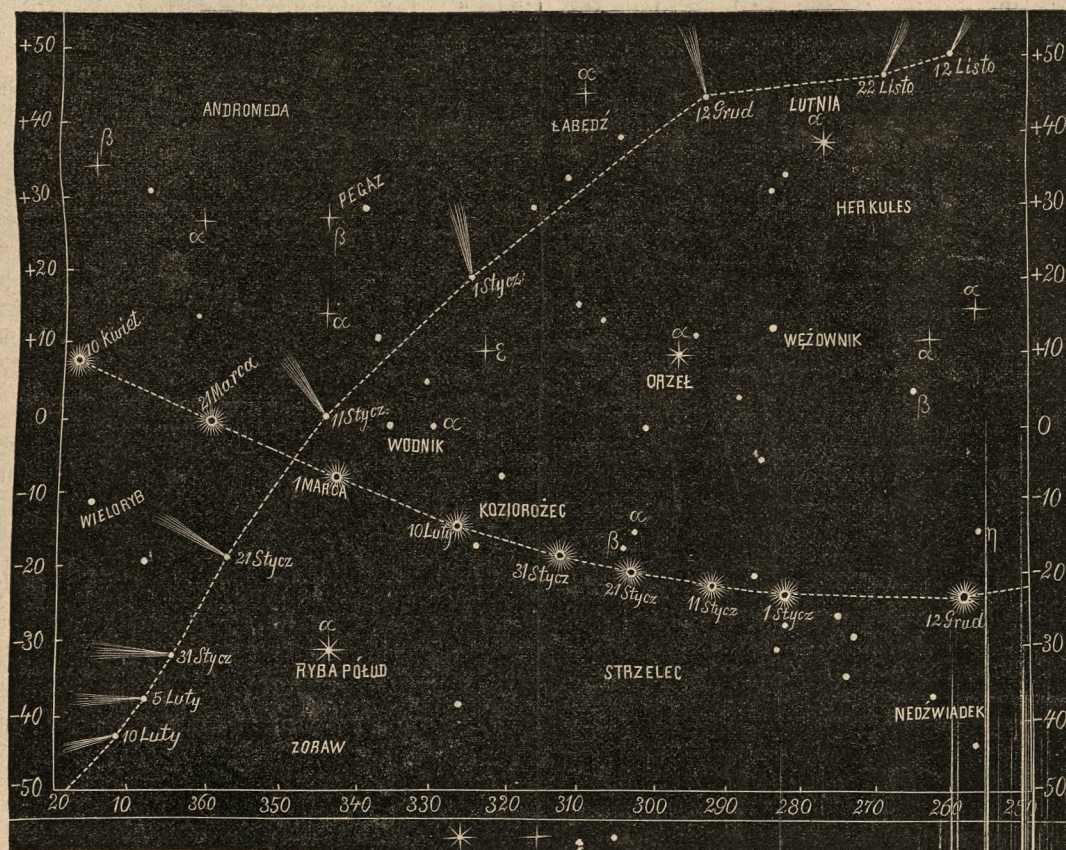
|    |           |     |
|----|-----------|-----|
| 12 | Listopada | 7   |
| 22 | "         | 12  |
| 12 | Grudnia.  | 36  |
| 1  | Stycznia  | 113 |
| 11 | "         | 145 |
| 21 | "         | 125 |
| 31 | "         | 82  |
| 5  | Lutego    | 65  |
| 10 | "         | 51  |

*B. R.*

J. I. Kraszewskiego.

## Rivarol i społeczeństwo francuzkie.

Niektóre tylko rozdziały wyróżniają się szczególniejszym opracowaniem i w tych znajdujemy ciekawe obrazy epoki niezbyt odległej, a mimoto już



Gwiazdy 1. 2. 3. wielkości.

**Bieg komety Pons'a Brooks'a.**

Kometa z 1812 r., jakęśmy widzieli, nie należy do komet odznaczających się blaskiem. Ledwie teleskop pozwalał ją widzieć. Choć więc została przepowiedziana na rok bieżący, nikt się nią nie zajmował i byłaby przeszła bez śladu, a raczej

W dniach oznaczonych na rysunku, natężenie światła komety będzie rosło i malało (według obliczonej jej odległości od ziemi) w stosunku następującym:

świeższymi wspomnieniami w pamięci współczesnych zatarłej.

Co do samej Rivarola osobistości, sąd p. de Lescure jest dosyć bezstronnym i sprawiedliwym, choć może zanadto jeszcze pochlebnym. Powiada o nim w początku: „Rivarol w literaturze naszej do pierwszorzędných pisarzy nie należy. Staral się nim być, ale celu nie osiągnął. Zahamowany przez rewolucyę w pełni biegu, wyrzucony przez nią w życie bojownicze, zmarł przedwcześnie na wygnaniu, w czterdziestym siódmym roku, nie mógł całej swej siły objawić. Zostawił po sobie ułamki tylko, rozproszone nad pomnikiem, którego budowa przerwana została; ale w ułamkach tych są arcydzieła zarodki. Pozostały po Rivarolu szczególnie wspomnienia jego epigramatów, ucinków jego dowcipu, dotąd jeszcze żywe i kolące, słówka zaradczą trwałe i świetne, w których dowcip jest ozdobą rozsądku, albo zemstą dobrego smaku. Słówka te, prawie cały wiek obiegając po świecie, nie straciły nic ani ze swej wagi, ni z ostrości.

„Ze startej i zblakłej tej postaci wdzięcznej, pozostała szczególnie pamięć i sława nienaruszona rozmowy czarującej, żywionej słowem równie płodnym jak wyobraźnią, której wrażenie podnosiła fiziognomia pełna uroku i wymownego uśmiechu. Hrabia de Tilly, a zwłaszcza Chénedollé, zachowali nam, w notatkach swych, pod wpływem świeżym chwili, z wiernością żywą stenografów—próbki tych ośniewających improwizacji... Rivarol, jako pisarz, werwą i stylem, talent podniósł do najwyższego wyrazu, ale jako rozmówca (causeur)—jest mistrzem niemającym równego—oryginalność czyni go prawie genialnym“.

Autor usiłuje dać nam nowego Rivarola, to jest pod powłoką świetną i lekką ukazać w nim poważnego człowieka. W chwili śmierci Voltaire'a i Diderot'a, współczesnemu Beaumarchais'ego i Chamforta—zrobić na sławę dowcipu we Francji,—nie było łatwo.

Pierwszy rozdział obejmuje młodość Rivarola i dochodzenie pierwocin jego rodziny, której później zarzucono, że sobie szlachectwo samowolnie przyznała. Tymczasem, chociaż zdaje się dowiedzionem, że ojciec Rivarola trzymał otwartą dla podróży gospodę w Bagnols; niemniej włoscy francuzcy i hiszpańscy Rivarole mają być szlachtą, ale o to jaknajmniej chodzi podobno dzisiaj.

W następnym rozdziale objęte są pierwsze na świat kroki młodego chłopca, od 1776—1782 r. Antoni Rivarol urodził się w Bagnols, w Langwedocji 1753 r. Pierwsze wykształcenie naukowe odebrał w Kollegium Józefistów. Ośmastoletni wstąpił do Seminarium Sulpicianów w St. Andéol, ale wkrótce je porzucił i podążył do Paryża. Pierwsze kroki okryte są ciemnością i osłonięte legendami, które się później potworzyły. Charakter jego, wesołość, żywość, dowcip, rysy tej postaci, jaką miał się ukazać w przyszłości—objawiają się bardzo wczesnie. Jest odrazu, czem być ma, dopełniając tylko i rosnąc z latami. Jako pisarz występuje naprzód dziennikarzem i publicystą—dosyć szczęśliwie; jest jednym ze współpracowników *Merkurego*. Pierwsze dzieło, większych rozmiarów, które się poznać daje—jest, *Rozprawa* (Discours) o upowszechnieniu francuzkiego języka. Wkrótce potem krytyka dowcipna popularnego naówczas Delila i jego poematu o ogrodach, nową stroną talentu Rivarola odkrywa.

Rozmowa głowy kapuścianej z rzepką zwraca oczy na złośliwego dowcipnisia, który wydaje, jedna po drugiej, broszury o wypadkach współczesnych, o balonach, o głowach mówiących, o opinii publicznej. W r. 1703 Rivarol żeni się—z kobietą literatką, z którą pożycie nie było ani trwałem, ani szczęśliwem.

Rozprawa o rozpowszechnieniu języka francuzkiego zostaje uwieńczoną—w Berlinie; Rivarol mianowany członkiem akademii nad Szprewą.

Po tym tryumfie Rivarol przedsiębierze pracę, na ów wiek—najnieprawdopodobniejszą. Voltaire właśnie był uznał poemat Dantego za dziwadło niedorzeczne; Rivarol, aby dowiesć, że Piekło—które fernejski poeta wysmiał i ogłosił niemożliwym do przetłumaczenia—przełożonem być może, abiera się do tłumaczenia Dantego. Nigdy wiel-

ki poeta włoski mniej zrozumianym, fałszywiej nie był ocenionym, niż w końcu XVIII wieku we Francji!—jest to więc wprost rzucenie się na to, co inni za niemożliwe uznawali.

Przekład Rivarola, nie potrzebujemy nawet mówić o tem, nie odpowiada wcale wymaganiom i pojęciom dzisiejszym, ale na swój czas jest porywem śmiałym, a poprzedzający go wstęp, o życiu i dziełach poety—pracą stosunkowo nie bez wartości. Dodajmy do tego, że Rivarol później poprawiał pierwszą swą próbę tłumaczenia—i zamierzał ją wydać nanowo.

Od Dantego przejście do pamfletów politycznych (1787—1788) i „Małego Almanachu“ wielkich ludzi na 1788 roku, przeskok ten charakteryzuje człowieka. Rzuca się w ogień, w walkę i zdobywa w nich zarówno laury jak rany.

Obok satyry politycznej i pamfletu—jako filozof, wydaje wojnę Neckerowi, po ogłoszeniu jego rozprawy „O ważności przekonań religijnych“. Wkrótce jednak nawraca się i przekonywa, że „moralność bez religii jest tem, czem sprawiedliwość bez sądów“. Zwrót ten nowy.

Siódmy rozdział—przyjaciele i przeciwnicy Rivarola, rzut oka na salony i społeczeństwo w przededniu rewolucji—należy do najbardziej zajmujących. Występują tu: Voltaire, Buffon, Pani de Genlis, brat Rivarola, Mirabeau, La Harpe i panie przyjaciółki dowcipnisia—salony, w których się ukazywał. Bardzo trafne są postrzeżenia o zmianie smaku w tym czasie, o anglomanii, masonery, zamiłowaniu w życiu wiejskiem, pogodzie, zbytku. Wziętość pisarza i człowieka rośnie.

W księdze drugiej (1789—1792) rozpoczyna się obraz epoki rewolucyjnej. Rivarol staje się royalistą, daje rady królowi, ubolewa nad brakiem stanowczości i odwagi w postępowaniu. Niepoehlebując nikomu—widzi on już w samym początku katastrofę nieuchronną, ale rady i ratunku nie znajduje. To, co pisze i mówi, odsłania słabe strony, nie wskazując czemuby zwyciężyć można brak ten energii i niepewności w środkach zaradczych. Trafne jego sądy i aforyzmy znajdują rozgłos i uznanie—lecz w praktyce spożytkować się nie dają. Oto niektóre z nich: „Lud czasem wysławia łaski, ale ufności nie daje nigdy“. „Lud używa swobody jak upajającego trunku: napija się nią i staje się wściekłym“. „Druk jest artylleryą myśli“. „Prawa są własnością opartą na potęgę; jeżeli potęga upada, prawa z nią giną“. „Wykroczenia dworu rozpoczęły rewolucyę—wykroczenia ludu jej dokonywują“. O szlachcie wyraził się, że „jest widmem przodków swoich“.

Zdania o ludziach są równie oryginalne i ostre. „P. Necker—powiedział—jest tak bezwstydnym szarlatanem, że jego obietniki w końcu nawet tych przekonywają, którzy w nie nie wierzą“.

O Lafayettecie: — „Głupstwami pokrywa swych przyjaciół, a nicością swą zwycięża losy!“

Rivarol nie cierpiał Lafayette'a: przezywał go: Gilles-César. Cromwell-Grandisson, Generał Morfeusz. Nielitościwym jest w końcu dla rządu i doradców Ludwika XVI. „Potomności trudno będzie uwierzyć—powiedział—co rząd zrobił i czego nie robił. W radzie odegrywano prawdziwy koncert głupstw“.

Ze wszystkiego, co pisał i mówił w tym czasie, widać sąd zdrowy, ale niesięgający dalej nad fakta spełnione; przyszłość przeczuwana była mu zakrytą. Sposoby zaradzenia widział jedynie w sile, w odwadze, na których właśnie zbywało, i królowi, i ludzom, jakimi się otaczał.

Pamflety polityczne, którym cały rozdział poświęca p. Lescure, są dziś dla nas obojętnymi, choć w historii działalności człowieka, grają one ważną rolę i są symptomatami umysłu, szukającego prawdy, pragnącego dobra, a bawiącego się przyczepianiem dzwonek nieszczęśliwym ofiarom czasu i wypadków. Rivarol jest czynnym jako współpracownik *Aktów Apostolskich*, później jako doradzca króla i stronnictwa królewskiego. Ale na tem stanowisku umysł jego niepodległy, prawdomówność, nie robiły mu ani przyjaciół, ani obrońców. Nie umiał się ani podobać, ani usłużyć, ani stać użytecznym.

W rozdziale czwartym księgi drugiej, dochodząc do chwili, gdy Rivarol ma kraj opuścić i wyemigrować jak inni, choć później od nich—Le-

scure daje szeroko zakreślony obraz społeczeństwa francuzkiego, w epoce od 1782—1792 roku. Jest to z całej tej pracy część najlepsza, najpełniejsza najciekawsza, oparta na studiach nadzwyczaj szczegółowych, umiejętnie w całość złożonych. Czyta się to z tem większym zajęciem, że rysy niemal tesame, świadczące o wpływie Francji na kraj nasz, a odnajdujemy u siebie w przededniu sejmu czteroletniego; niemówiąc już o ideach do nas przeniesionych, a na gruncie tym inaczey rozwiniętych niż we Francji, wszystkie gusta i mody ówczesne niewolniczo się u nas powtarzają. Żałujemy bardzo, że obszernego tego rozdziału, pełnego rysów charakterystycznych, streścić tu nie możemy. „Rivarol,—kończy autor—którego wszyscy prawie przyjaciele i przyjaćiółki były w więzieniu lub na emigracyi, który mniej się lękał śmierci, niż nudy, a nadewszystko niesmaku, jaki w nim budził stan rzeczy, prawie wesoło się zrezygnował na opuszczenie Francji—gdzie uwielbienie dla natury i sentymentalizm drażniły nerwy jego. Wygnanie uważał raczej jako podróz niż ucieczkę, mniej je czuł jako nieszczeście, więcej jako wybawienie“.

Księga trzecia i ostatnia obejmuje lata od 1792 do 1801, to jest do śmierci Rivarola. Obraz emigracyi francuzkiej za granicą—jest pełen prawdy, ale wcale niepoehleby. Publicysta, dopóki żył we Francji, Rivarol za granicą wkrótce kruszy pióro, jakby się przekonał o bezsilności jego.

Pobyt w Brukseli i Londynie (1792—1795) daje nam poznać bliżej wiele ciekawych postaci tych wychodźców, pomiędzy którymi i bardzo znakomite osobistości i dziwaczne z postawy karykatury. Rivarol spędza życie w salonach—zamierzając razem rozpocząć jakąś wielką pracę literacką. W Hamburgu, w którym po Londynie (ten mu nie przypadł do smaku) osiedla się na czas dłuższy, rodzi się myśl „Nowego Słownika języka francuzkiego“. Jak wiadomo, dzieła tego ukazał się tylko wstęp, a śmierć z zebranego materiału nie więcej skończyć mu nie dozwoliła.

Hamburg staje się wkrótce Francuzowi nieznośnym. Ostatnie dni tu przebyte maluje Chénedollé. Wszystko tu wydawało mu się smieszne i niesmaczne, być może dlatego, iż dowcipu jego ocenić nie umiano.

Stał się milczącym.—„Na co się mam zmagać dla tych ludzi?“—powiadał.—Zdawało ma się, iż lepiej będzie przyjętym i ważniejsze zajmie stanowisko w Berlinie, na czem się nie zawiodł wistocie. Mieszczanstwo hamburskie nie było stworzone do zrozumienia wykrintnego salonowego dowcipnisia, ani on—do zastosowania się do życia w warunkach zupełnie nowych.

Berlin był jedynym ratunkiem. Tu Rivarolowi przypadła nawet missya dyplomatyczna od Ludwika XVIII, ale urzędownie na dworze przyjętym być nie mógł. Spędził tu ostatnie chwile życia, przynajmniej w dobrem towarzystwie, jako człowiek ceniony i przyjmowany mile. Przyjaźń i zyczliwość księżnej Dolgorukowej, jednej z najznakomitszych niewieścił postaci tej epoki, osłodziła mu koniec życia. Przyjaćiółka księcia de Ligne, który tak poehleby skreślił jej wizerunek, wywarła wielki i zbawienny wpływ na znekkanego i zwichniętego wygnaniem człowieka. Ona mu wpływem swym wyjednała uznanie i stanowisko pożądane w wyższym towarzystwie Berlina. Rivarol, porzuciwszy słownik, myślał teraz o wielkim traktacie polityki, historii rewolucyi, pamiętnikach i t. p. Powrót do Francji był już w myśli i stawał się możliwym.

W ostatnim liście przed śmiercią, pisanym z Berlina, powiada: — „Mam myśl pojechania do Francji, ale nie chcę tam wrócić, aby być przesładowanym; głupstwo Don-Kiszota (brata Rivarola) w kłopot mnie wprawia; nazwisko swe uczynił podejrzanem, niewiedzieć za co i dla czego. Ostatniego miesiąca byłem bardzo chory; teraz się już czuję lepiej. Miano o mnie wielkie staranie, szczególnie Engeström, minister szwedzki, którego widziałam w Londynie, odznaczał się w tem. Napisałem małe impromptu dla królowej (Ludwika)—królowa bardzo młoda i piękna. Pierwszych dni Kwietnia będę pewnie nad brzegami Renu“. Pisał ten list w końcu Lutego, a w Kwietniu nie nad Renem był, ale w grobie; zmarł pierwszych

dni tego miesiąca. Żal powszechny towarzyszył mu do grobu.

Pozostały po nim olbrzymie materyały do słownika, dzieło o polityce, traktat o grammatyce i o intelligencji ludzkiej. „Rivarol—kończy de Lesecure—nie darmo rachował na przyszłość: przyjmie ona pomacierzyńsku tego syna marnotrawnego geniuszu francuskiego, który tak szczęśliwie i świetnie bronił jego zasług, sławił zdobycze, urok jego rozpowszechniał.

„Nie zostawił po sobie dzieł pełnych i wykonanych. Nieustannie porywany, stawał się ofiarą, to lekkomyślności, to wierności, to konieczności, święcąc im chwile natchnienia. Nieustannie mu coś stawało na zawadzie, by mógł zostać wielkim człowiekiem. Był tylko sławnym. Lecz, sława ta, jaką ona jest, przeżyje go. Zostały po nim, bądźcobądź, więcej niż obietnice, więcej niż dowody siły“.

Lesecure przyznaje mu pierwsze próby pracy nad filozofią języka i rozpoczęcie walki z nadużyciami rewolucyjnymi.

Blżej się jednak rozpatrując w człowieku i dziełach, musimy w nim widzieć, nawet jako pisarza, więcej człowieka słowa niż czynu. Nie umie nie dokończyć, nie wykonać. Pomysłami sięga daleko, plany zakreśla olbrzymie — brak mu wytrwałości i ciągu w życiu. Przerzuca się, zniechęca i taksamo jak dowiecipem smaga świat otaczający, tak sobie samemu odbiera siły, strony ujemne silniej zawsze i wybitniej widząc niż dodatnie.

Powiadano o nim, że ten wirtuoz i czarodziej w rozmowie—przygotowywał się do niej zawczasu, uczył się dowiecipów, któremi potem strzelał, jakby one niespodzianie mu przychodziły. Złośliwość mogła to wymyślić, lecz właściwie dziś, oprócz tych fajerwerków i rakiet, niewiele po nim zostało. Wielkiego człowieka nawet biograf-apologista zrobić nie może z niego. Świetne zjawisko—gwiazda spadająca, która po sobie zostawia drogę iskier ognistą—nic więcej.

## RUCH MUZYCZNY.

Czytelnicy nasi wybaczą nam, że przerwy w sprawozdaniach muzycznych, spowodowanej usunięciem się poprzednika naszego, nie będziemy uzupełniać chronologicznie, wspomnieniami minionych już oddawna i zapomnianych poczęści faktów; lecz podzielimy się tylko ostatnimi wrażeniami z koncertów przeszłych tygodni. Pierwsze słowo należy poświęcić braciom Grünfeld, doskonałym wirtuozom gry fortepianowej i wiolonczelli.

Pan A. Grünfeld, fortepianista, bawiąc w przeszłym roku u nas, zdobył sobie wstępnym bojem uznanie i sympatyą publiczności; teraz spotykał jeszcze więcej to uznanie, gdyż grą swoją przemówił do nas cokolwiek poważniej, do czego jesteśmy poniekąd przyzwyczajeni przez takich artystów, jak Rubinstein, Menter i t. p. Ze pan Grünfeld w swym repertoarze, przeważnie posiada lekkie balast powabnych drobnostek, które, mówiąc nawiasem, entuzjazmują część słuchaczy, temu się wcale nie dziwimy—gdyż jest to koniecznym wynikiem atmosfery dworskiej wiedeńskiej, wśród której artysta przebywa; przekonał się jednak, że gdy chce tylko, przy znakomitych ze wszech miar zasobach gry swojej, może również i wzniosłe dzieła Beethovena i Schumanna mieścić w swym repertoarze, dając tem dowód wszechstronności swego talentu. Gra jego jest wyjątkowo-interesująca, gdyż składa się na nią gruntowna znajomość i umiejętność wyzyskania instrumentu, jak również i wielka technika. To też, cokolwiek zagra, jest to tak pięknie wykonane, z tylu najdelikatniejszych a różnorodnych odcieni się składa, że trzeba nieraz zapomnieć o rzeczywistej wartości kompozycji i przyklasnąć jedynie wykonaniu.

Pan Grünfeld umie też scharakteryzować właściwe rysy indywidualności kompozytorów, a formę dzieł wykonywanych przedstawić jasno i zrozumiale. Jest to zaleta bardzo cenna, gdyż często nie idzie w parze ze świetną techniką, jeżeli

przy niej wirtuoz nie posiada gruntownego wykształcenia w sztuce.

P. Grünfeld Henryk, wiolonczellista, należy do tych, którzy nie zapomnieli, że technika powinna być tylko środkiem do otrzymania swobodnej, niezawisłej interpretacji dzieł, a nie stać się sama sztuką; to też nie goni jedynie za efektami, często nieodpowiedniami dla wiolonczelli, byleby wykazać swą biegłość—nie przekształca znaczenia instrumentu, nadającego się więcej do spokojnej powagi, do szerokiej, o pięknym tonie, kantyleny, niżeli do drobnych sztuczek lub akrobatycznych błyskotek. Dodamy jeszcze, że jako wytrawny muzyk, jest on równie dobrym *ensemblistą* jak i wirtuozem.

Młody nasz ziomek, pan Adamowski, brat znanego skrzypka, od wielu lat przebywającego w Ameryce, ukończywszy studia w konserwatorium moskiewskim, zawitał do nas, jako dzielny wiolonczellista i dobry muzyk. Koncert jego wykazał wiele zalet wróżących mu świetną przyszłość. Obecnie nie możemy jeszcze stawiać go w rzędzie z innymi potentatami gry, albowiem jest on dopiero na drodze do wyżyn, które się dłuższą pracą i doświadczeniem zdobywają; nadmienimy tylko, że widniejący u niego zapal do sztuki, młodzięcza werwa, ton silny i technika, już znacznie rozwinięta,—są dla nas dostateczną rękojmią, że przybywa nam jeden więcej artysta, pracujący zaszczytnie na tej niwie.

Gościnne występy artystów włoskich mają niezaprzeczenie i dobrą swoją stronę. Stosując się do repertoaru tychże artystów, dyrekcja teatrów widzi się w konieczności ożywić i swój repertoar opery, dając od czasu do czasu, jeśli nie nowość, to przynajmniej wznówienie. Tymrazem występom panny Varesi i pana Defalco zawdzięczamy wystawienie dawno nie granej *Lindy* Donizetti'ego, jednej z najlepszych oper tego kompozytora; szkoda tylko, że nie dołożono więcej starania, by całość tej opery zupełnie zadawała się przedstawić. Sympatyczna panna Varesi była ozdobą przedstawienia, oddając, z wielkim wdziękiem i wykończeniem, efektu trudnej swej partyi; głos jej miły, aczkolwiek nie-silny, posiada słodycz i gętkość uwytłaczającą się najwięcej w lirycznych operach: to też i w *Lindzie* była znakomitą. Pan Defalco, ilekroć go słyszymy, nasuwa nam pytanie: co za szczęśliwa gwiazda utrzymuje go dotąd na scenie? albowiem z tak bezdźwięcznym i małym głosem, żadnej podjętej roli, w zupełności podobać nie może, tem mniej w takiej operze jak *Linda*, która, oparta przeważnie na kantylenach, jest polem popisu dla śpiewaka. Z sił miejscowych: pan Kozieradzki grą swoją skończoną, podtrzymywał chwiejący się tok rzeczy; pan Chodakowski sumiennie bardzo i szlachetnie oddał swoją partię; pan Seideman miał chwilę szczęśliwą, lecz, niestety—dyrygując operą nie miał jej ani razu. Słuchacz, z prawdziwą przykrością, musiał zauważyć brak wykończenia w *ensemblach*, niedostateczność siły chórów i rażąco niewłaściwe tempa. Duet z aktu I (bas i baryton) z tego powodu z początku wcale nie robił wrażenia. Najlepiej wydał się duet Lindy i Pierotta, oraz scena powrotu Lindy w akcie III. Słowem, słuchacz upojony bogactwem i świeżością melodyi, mógłby być wyniesie miłe wrażenie z sali teatralnej, gdyby nie ów brak chwil szczęśliwych dyrygenta i nieobecność tenora.

Juliusz Stättler.

## Korrespondencya zagraniczna.

Lwów w Październiku 1883 r.

(Dokończenie).

Zmarłemu wspomniały sprawiono pogrzeb. Nie brakowało niczego, cokolwiek mogło się przyczynić do okazałości obrzędu. Były przemowy i wieniec; licznie zgromadzone duchowieństwo, cechy i stowarzyszenia. Za trumną szedł Namiestnik z gromem urzędników, jako za członkiem Rady Szkolnej, urzędnicze piastującym stanowisko, Pre-

zydent miasta z Radą Miejską, której zmarły niegdyś także był członkiem, posłowie sejmowi, grom członków Akademii z prezesem, dr. Majerem, na czele, bawiącym podówczas z okazji sejmku we Lwowie, wreszcie nieprzebrany orszak publiczności. Pogrzeb ten był świadectwem, że hasła takie, jak praca i nauka, znajdują u nas uznanie i cześć należytą.

Równocześnie prawie zmarł nagle księgarz Richter, który zapobiegliwością swą przyczynił się znacznie do ożywienia księgarstwa lwowskiego i z tego względu na wspomnienie zasługuje. Zamłodu uczył się księgarstwa u Friedleina w Krakowie, poczem wstąpił do wojska, a otrzymawszy stopień oficerski, wziął dymissyę, osiadł we Lwowie i wracając do pierwotnego zawodu, założył tutaj małą początkowo księgarnię, którą w przeciągu lat dziesięciu znakomicie rozszerzył i do pierwszorzędnego podniósł znaczenia. Literackiego wykształcenia śp. Richter nie posiadał i nie znał się wcale na literaturze, ale miał w wysokim stopniu rozwinięty zmysł kupiecki, talent administracyjny i niesłychaną zapobiegliwość w swoim zawodzie. Miał spryt wrodzony, energią i ducha inicjatywy, co razem wzięwszy, zastępowało u niego brak wyższego wykształcenia, brak wiadomości bibliograficznych i literackich. Instynktowo umiał odgadnąć: czego w danej chwili czytającej publiczności potrzeba, i w tem była zagadka powodzenia jego księgarni. On pierwszy wprowadził we Lwowie kolporterstwo czasopism i wydawnictw zeszytowych, które przyjęło się i rozwinęło wkrótce nader pomyślnie i stało się podstawą ustalenia jego księgarni. Zarzucono mu słusznie, że rozpowszechniał tym sposobem po największej części wydawnictwa niemieckie zagraniczne, niezasługujące na rozpowszechnienie i szerzące „szkodliwą germanizację”; ale Richter nie zważał na to, a widząc powodzenie kolportowanych wydawnictw niemieckich, przedsięwziął iść się tego sposobu i co do polskich, i zaczął wydawać ilustrowane czasopismo *Strzechę*, które pod redakcją Fr. Waligórskiego wychodząc przez lat kilka, początkowo zwłaszcza wielkie miało powodzenie, pomimo trudności w wydawnictwie z braku zdolnych rysowników i drzeworytników we Lwowie. Następnie imał się Richter rozmaitych innych wydawnictw i przedsiębiorstw literackich; wydawał *Bibliotekę narodową* złożoną po większej części z oryginalnych utworów beletrystycznych znakomitszych autorów społecznych; a ruchliwy umysł jego ciągle na nowe wpadał pomysły wydawnicze. Ostatnimi czasy, sprzedawszy księgarnię Altenbergowi, przeniósł czynność swoją na pole publicystyki i założył pismo codzienne polityczne *Kurier Lwowski*, na wzór tego rodzaju pism warszawskich, pod redakcją p. Masłowskiego. Przedtem jeszcze na lat parę założył pismo humorystyczne p. t. *Różowe Domino* pod redakcją Włodzimierza Zagórskiego, znanego pod pseudonimem *Chochlika*, rywalizujące z wychodzącym oddawna *Szczutkiem*. Po śmierci Richtera „*Różowe Domino*“ przeszło na własność swego redaktora Chochlika, a „*Kurier Lwowski*“ także będzie i nadal wychodził, utrzymując się, jak dotąd, na stanowisku pośrednim pomiędzy dziennikiem politycznym większego rozmiaru, jakich mamy kilka, a pismem brukowym dla najszerszych kół publiczności, jakiego wcale nie mamy.

Zajmujący odniedawna katedrę geografii na tutejszym uniwersytecie, znany z swych dalekich podróży naukowych, prof. Roman, miał temi dniami w sali ratuszowej odczyt o pierwotnych plemionach południowej Afryki, na dochód Bratniej Pomocy akademików. Przedmiot mało u nas znany nastęrczył sam przez się wiele ciekawej treści, zaczerpniętej po części ze znakomitych dzieł dawniejszych podróżników, po części z własnych spostrzeżeń prelegenta, podczas dłuższego pobytu w krainie Kafrów, Hotentotów i Buszmanów, i to były, rzecz naturalna, najciekawsze właśnie ustępy wykładu. Rozpatrując sposób życia, i obyczaje tych dzikich plemion, do których nie przedarł się jeszcze promyk cywilizacji, mamy przed sobą obraz tego, czem był człowiek w epoce pierwotnej, nim jeszcze związał się w społeczeństwo i wyswobodziwszy się z pieluch natury, rozwinął umysłowo i moralnie. Z trzech powyżej wymie-

nionych plemion zamieszkujących południową Afrykę, każde odmienny prowadzi sposób życia, różniąc się usposobieniem, a poniekąd i stopniem umysłowego rozwoju. Buszmani są łowcami, Hotentoci pasterzami, Kafrowie rolnikami. Na najniższym stopniu stoją Buszmani, co też znamionuje poniekąd sama ich nazwa, dana im przez osadników holenderskich, oznaczająca człowieka zwierzę. Plemię to, przeznaczone na zagładę, wątłej budowy, tępione zarówno przez białych Europejczyków, jak czarnych swych spółplemieńców, jednych i drugich obawia się i unika, jako najsroższych swych nieprzyjaciół. W niniejszym wykładzie zajął się prof. Reman wyłącznie Buszmanami; o Kafarach i Hotentotach odkładając rzecz na później do przyszłych odczytów. Z zestawienia tych trzech odczytów złoży się całość, nie tylko zajmująca dla zwykłego słuchacza i czytelnika, ale i ważna dla etnografa i antropologa. Buszmanie żyją dziko, zamieszkują odosobnione skały szczeliny, a jednym ich zajęciem jest myślistwo, polowanie na antylopy, dla zaspokojenia głodu, będącego jedyną pobudką jakiegokolwiek czynności w próżniaczem życiu dzikiego plemienia. A przecież i tutaj, w tym napół zwierzęcym jeszcze stanie, świeci w umyśle człowieka iskra, podnosząca go nad poziom dzikości, świadcząca o pewnym zasobie poglądów i pojęć o świecie, wymagających skombinowanej już działalności umysłowej, żywości fantazyi, a nawet zmysłu estetycznego. Pomimo nadzwyczajnego ubóstwa mowy pod względem, tak wyrazów, jak form gramatycznych, mają i oni swoją symbolikę, swoją historią i podania, jak widać z przytoczonych przez prof. Remana kilku ustępów legend mitycznych, przechowywujących się tradycyjnie pomiędzy nimi. Co zaś szczególniejszego, to wrodzone plemieniu temu zamiłowanie rysunku i malarstwa, objawiające się pomimo braku cywilizacji. Ściany rozpadlin skał, które zamieszkują, przyozdabiają rysunkami postaci ludzkich i zwierzęcych. Posiadają cztery barwniki: ceglasty, czarny, żółty i zielony, wyrabiane z roślin, sposobami im wiadomymi, i temi koloryzują swe rysunki. Nie mają wprawdzie wyobrażenia, ani o perspektywie, ani o innych wymaganiach rysunku, ale umieją, pomimo tego, zachować podobieństwo malowanego przedmiotu i bardzo na to uważają, tak, iż tensam przedmiot rysują czasem po kilkanaście razy, powtarzając go dopóty, dopóki nie odtworzą podobieństwa do natury tak, iżby rysunek zadowolnił ich artystyczne, jakkolwiek niemowlęce jeszcze, wymagania. Nie jest-że to iskra talentu, oświeclająca bladym promykiem umysł człowieka, w dzikim jeszcze stanie pozostającego, iskra, świadcząca, że umysł ten posiada zasady, które byłyby w stanie pod przyjaznymi warunkami rozwinąć się z czasem i przyjąć światło cywilizacji?

Od mrzonek cywilizacyjnych sięgających południowych krańców Afryki, wróćmy do siebie, do domowej zagrody, gdzie tyle jeszcze ciemności, wymagających światła nauki, powołuje do pracy cywilizacyjnej. Spełniając to zadanie w swoim zakresie, wydawnictwa tutejszej *Macierzy* doszły już do liczby kilkunastu książek, przybierając coraz wybitniej kierunek praktyczny, to jest odnoszący się do codziennych stosunków i położenia ludności naszej wiejskiej i miejskiej, dla rozwinięcia pojęć i prostowania wyobrażeń, tam, gdzie tego najbardziej potrzeba. Do takich, na praktycznym gruncie opartych, w życiu codziennym włościanina przydatnych, pouczających książeczek, zaliczamy: *Domowy poradnik lekarski*, przez dra Stellę Sawickiego, stanowiący jedenastą z rzędu książeczek *Macierzy*. Sam tytuł objaśnia już treść i pożytek poradnika, zawierającego wskazówki niesienia pomocy doraźnej w przypadku rozmaitych chorób i przepisy higieniczne dla zapobiegania im. Do takich, w innym znów kierunku nuczających należy, ściśle praktycznego trzyma-

jąca się gruntu stosunków i wyobrażeń ludności naszej książeczka: *O własności*, przez Wojciecha Wilczyńskiego, znanego autora powieści humorystycznych. Właściwy temu autorowi styl prosty, ożywiony humorem a obrazowy, posłużył bardzo dobrze do napisania powyższej rozprawki, będącej niejako w najprzystępniejszej formie po danym elementarzem zasad ekonomii społecznej. Czem jest praca, kapitał, własność i inne wzajem na siebie oddziaływające czynniki, stanowiące materialne i moralne bogactwo społeczeństwa, to znajduje się tu wybornie wyłuszczone w sposób popularny, dążący do sprostowania wyobrażeń i utrwalenia przekonań na prawdzie opartych. Obaczmy: jak autor rzecz swą przeprowadza. Pożar zniszczył chatę i cały dobytek włościanina. Pozostaje mu całego mienia dwa guldeny na utrzymanie siebie i rodziny. Ciężkie to nieszczęście wywołuje reflexy nad własnym położeniem; potrzeba pobudza do pracy. I oto włościanin zubożały przychodzi tym sposobem do poznania wartości pracy, czasu i sił własnych, tych-to czynników, wytwarzających zamożność, tak pojedynczego człowieka, jak całego społeczeństwa. Gorliwa praca przynosi plon tak znaczny, że nie tylko wystarcza on naszemu włościaninowi na utrzymanie, ale jeszcze dozwala mu odłożyć część pewną na przyszłość. Włościanin zaczyna kapitalizować owoce swej pracy, a mając zapewnione pierwsze potrzeby życia, zaczyna pomału uczuwać potrzebę uprzejmienia sobie tego życia, potrzebę pewnych wygód zbytkowych, połączonych z wymogami posuniętej już do pewnego stopnia cywilizacji, idących w parze ze wzrostem dobrobytu a będących poniekąd także moralnego uszlachetnienia podstawą. Poznawszy z własnej praktyki życia: czym jest praca, kapitał i t. p. rozpatrując się w stosunkach społecznych, zaczyna się włościanin zastanawiać nad położeniem odmiennem różnych stanów w społeczeństwie, nad rozmaitemi rodzajami pracy, rozmaicie się rentującymi, wedle pożytku, jaki przynoszą społeczeństwu; nad znaczeniem kapitału będącego summą pracy przeszłej, a motorem przyszłej. Jak chirurg, lekką a wprawną ręką dotykający chorobliwych części organizmu, tak ostrożnie autor stara się tu objaśnić pojęcia w drażliwych kwestiach mogących spowodować poczciwy nasz ludkę na błędne ścieżki zboczeń socjalistycznych i nienawiści społecznych. Rozprawa niniejsza *O własności* jest zdrowym ziarnem, które oby się jak najszerzej rozkorzeniło na naszej niwie!

Na Nowy Rok księgarze śpieszą z wydawnictwami: to też ostatnimi dniami pojawiło się parę nowości na tutejszych półkach księgarskich. Nakładem Gubrynowicza i Schmidta wyszły w czterech tomach *Poezye Mieczysława Romanowskiego*, o których może będę miał później sposobność obszerniej pomówić. Młodzieńcza lutnia Romanowskiego zamilkła przedwcześnie u wstępu życia wraz ze śmiercią poety. Talent jego był przeważnie liryczny. Poezye Romanowskiego odznaczają się bogactwem fantazyi, żywością obrazowania i gorącym uczuciem, a przytem łatwością i potocznością wiersza. Przeszedłszy na pole dramatu, wybierał Romanowski temata z przedhistorycznych czasów Polski, znajdując tam bogaty materiał poetycznego natchnienia i historyzoficznych poglądów. Dramata jego, mianowicie: *Piast* i *Popiel*, i kilka innych w podobnym rodzaju, a niedokończonych, mają w sobie wiele lirycznego żywiołu. Miały one utworzyć z czasem cały cykl wspaniałej, na wielki rozmiar pomyślanej kompozycji. W tece Romanowskiego pozostało oprócz rzeczy skończonych i drukiem ogłoszonych, mnóstwo też prac rozpoczętych, pomysłów luźnie rzucanych celem późniejszego opracowania, co wszystko nastroczyło wiele mozolnej pracy p. Amborskiemu, zajmującemu się uporządkowaniem i wydaniem tej pośmiertnej spuścizny poety.

Równocześnie wyszedł u Gubrynowicza i Schmid-

ta tom drugi korespondencyi Zygmunta Krasińskiego, zawierający Listy do Soltana, tudzież zajmujące treścią, jako opracowanie młodości Mickiewicza, trzytomowe dzieło p. Józefa Treliaka, w którym znajdujemy zgromadzonych wiele mało znanych szczegółów o autorze *Dziadów Pana Tadeusza*. A dla kogóż z nas, najbardziej chociażby drobniawo, wzmianki o wielkim wieszczu nie są cenną pamiątką?

To są ważniejsze wydawnictwa, które prasa tutejsza wita już przyjściem Nowego Roku. Przekłady dzieł Schillera, wychodzące pod redakcją prof. Zippera, są także pożądanym nabytkiem literackim, który rok bieżący przekaże swemu następcy. Księgarnia Polska kończy już nowe swe wydanie *Zywotów Świętych* Piotra Skargi. W ostatnich tomkach *Biblioteki Mrówki* zamieściła zestawione obok siebie, jakby dla porównania talentu pisarzy, niektóre *Rimolki* Wilkońskiego, *Humoreski* Jana Lema i parę humorystycznych szkiców Bliźnińskiego. Opuściły też już prasę dwa kalendarze: *Szczulka* i *Różowego Domina*, zawierające obszerną część satyryczno-humorystyczną.

Na zakończenie dzisiejszego listu dodam jeszcze słówko o restauracyi malowideł tutejszego kościoła OO. Bernardynów. Kościół ten należy do piękniejszych budowli stylu barokkowego, a sklepienia, tak nawy głównej, jak i presbyteryum, ozdobione są freskami znakomicie wykonanymi w pierwszej połowie zeszłego wieku, przez księdza Benedykta Mazurkiewicza, o którym nie więcej nie wiemy, oprócz tego, że był twórcą tych pięknych malowideł i że zaczął je malować w roku 1783. Są to dwie kompozycje na szeroką skalę pomyślane, świadczące, nie tylko o twórczości fantazyi artystycznej, ale także o doskonałości technicznej pędzla w dobrej wykształconej szkole. Kompozycyanasklepieniu presbyteryum wyobraża Tróję Świętą w otoczeniu orszaku aniołów i Św. Pańskich, zaś malowidło sklepienia nawy głównej przedstawia apoteozę Św. Franciszka Serafickiego. Obie te wielkie kompozycje są cennymi dziełami sztuki. Malowanie wypukłych sklepień ma swoje odrębne warunki perspektywiczne, odmienne od perspektywy płaszczyzny równych, a rysunek tutaj musi być bardzo umiejętnym. Wszystkie trudności jego znajdujemy z wielką wprawą artystyczną przezwyciężone w freskach, o których mowa. Grupowanie, lekkość pojedynczych postaci, a zwłaszcza rysunek skrócen na dalszą obliczoną perspektywę, znamionują artystę, którym obok innych, może się pochlubić malarstwo nasze zeszłego stulecia — i nieodżałowana szkoda, że nie pozostało nam więcej dzieł, lub przynajmniej szczegółów biograficznych, mogących rzucić światło na przebieg artystycznej działalności tego rzeczywistego talentu.

Nie można się zresztą temu dziwić. Zakonnik, w cichej swej celi, nie ubiegał się o sławę światową, a pracę życia poświęcił przyozdobieniu Domu Bożego. Stuletni przeciąg czasu uszkodził częściowo malowidło, i okazała się pilna potrzeba restauracyi dla zapobieżenia dalszemu zniszczeniu. Zajął się tem znakomity znawca sztuki, konserwator zabytków historycznych, Wojciech hr. Dzieduszycki, i porucił odnowienie pp. Kopestyńskiemu i Osuchowskiemu, malarzom, którzy pod jego kierunkiem dokonali już bardzo dobrze kilku podobnego rodzaju restauracyi dawnych zabytków artystycznych. Że wybór był dobry, o tem świadczy odnowienie malowidła sklepiennego w presbyteryum, już ukończone — w ten sposób, że uzupełniono ręką czasu poczynione szkazy i oczyszczono malowidło, gdzie tego było potrzeba, pozostawiając nieknućniętym rysunek i pierwotne bogactwo kolorytu. Odnowiony też został wspaniały obraz w głównym ołtarzu ks. Leksyckiego, przedstawiający *Zdjęcie z krzyża Chrystusa Pana*. Obecnie rozpoczyna się ma restauracya fresków nawy głównej.

**TREŚĆ.** Pogawędka. — Znałem jedną przez Wiktora Gomulickiego. — Polka i Amerykanka, powieść, (dokończenie), przez Sewera. — Powrót gościa z poza świata, przez B. R. — List z zagranicy, J. I. Kraszewskiego, — Ruch muzyczny, przez Juliusza Statlera. — Korespondencya zagraniczna, Lwów, (dokończenie).

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.  
Варшава, 22 Ноября 1883 года.